ROZMAITOŚCI.

Dnia 22 maja, Ner 21. roku 1847.

MAJOR ANDRÉ.

Byłoto w pamiętnym dla północnej Ameryki roku 1774, kiedy tameczne kolonije angielskie na wolność wybijać się zaczęły. Lubo dawną jest prawdą, że każda osada, tylko tak długo w zawisłości od swego macierzystego kraju zostaje, dopóki nie ma dość siły, aby się mogła z pod jego władzy wyzwolić; zawsze jednak powód do podobnego oderwania się Ameryki od Anglii, osobliwszym pozostanie wypadkiem. Kolonije amerykańskie nie były przez Angliję uciemiężone; owszem wydała ona w niedługim czasie przeszło milijon funtów szterlingów, a przecież kilka arkuszy stemplowego papieru, rozerwały stare, wiekowe węzły.

* * *

Piękny wiosenny poranek jaśniał nad Bostonem i jego portem, w pobliżu którego na malowniczym wzgórku wznosi się wysoka strażnica morska. Na ten wzgórek szło zwolna, ramię w ramię, dwóch młodych ludzi, przyjaciół: porucznik André, adjutant jenerała Clinton, i towarzysz jego szkolny z Anglii, lecz rodowity Amerykanin, Ryszard Talmadge. Zeszli się oni teraz po długiem niewidzeniu się z sobą; gdyż opuściwszy szkoły, wstąpił André do wojska, i bawił jużto w Kanadzie, gdzie się w wojnie z Francuzami świetnie odznaczył, jużto przy jeneralskim sztabie w Anglii, podczas gdy Ryszard odwołany śmiercią ojca do Ameryki, żył w Bostonie, trudniąc się zarządem rozległych posiadłości ojczystych. W tem nadeszła przyjemna dlań wiadomość, że jenerał Clinton wyprawił swego adjutanta do Ameryki, aby się tam z dowodzącym w Bostonie jenerałem Gage względem przyjęcia i pomieszczenia nadejść mającego oddziału wojska umówił Nie mogło też młodego oficera nic tak ucieszyć, jak to poselstwo. Oddawna już były wszystkie jego myśli i uczucia ku Ameryce zwrócone. Wszakże ani to wojna ani polityka w te strony go nie ciągnęły. Żył tam przedmiot jego miłości; miłości, którąby poniekąd nieszczęśliwą zwać można było. Będąc jeszcze uczniem, poznał był André w domu swej matki młodą Amerykankę, wychowującą się z jego siostrami w jednym i tymże samym zakładzie Lubo Eleonora prawie jeszcze za dziecko uchodziła, powziął on przecież namiętną dla niej miłość. André był poetą i malarzem. Eleonora służyła mu za Muzę, która go do obojej sztuki natchnęła. Wszystkie jego obrazy, skreśliły jej piękne rysy. Nadaremnie przedstawiała mu matka i siostra niepodobieństwo połączenia się z nią, chcąc go odwieść od tej miłości. Eleonora była wprawdzie bogatą, lecz sierotą, i zostawała mimo to w daleko cięższej zawisłości, niż gdyby miała była ojca i matkę. Umierając naznaczył jej ojciec testamentem nie jakiego pana Arnolda, pułkownika milicyi miejskiej za opiekuna, i udzielił mu tak obszernego pełnomocnictwa w tej mierze, jakiegoby sobie w wyższym stopniu sam rościć nie mógł. Majątek Eleonory składał się po większej części z posiadłości ziemskich, których zarząd do Arnolda należał. Dochód z nich miał być obracany na utrzymanie i wychowanie Eleonory, przewyżka na ulepszenie dóbr samych. Rachunku nie był opiekun obowiązanym składać nikomu aż do pełnoletności pupilki. Bez jego zezwolenia nie wolno jej było pod żadnym warunkiem iść za mąż. Gdyby można było przypuścić, iż pułkownik Arnold przy wyborze męża dla Eleonory, będzie tylko jego zewnętrzne i umysłowe przymioty miał na względzie, tedy byłby każdy mógł naprzód winszować Andremu; trudno bowiem było znaleźć człowieka tak obyczajowego i przystojnego, tak pełnego zdolności i ukształcenia, i bardziej niż on, od wszystkich cenionego. Jednakże był on niestety nietylko zupełnie ubogim, lecz mając zubożałą bankructwem pewnego krewniaka matkę, musiał ją wraz z dwoma siostrami ze swego szczupłego żołdu wspierać. Jeżeli podobne położenie w ogólności dla żadnego opiekuna majętnej pupilki zaletą nie jest, tedy było ono nią tem mniej w oczach pułkownika Arnolda. Sława tego człowieka nie była wcale pochlebna. Okazał on się wprawdzie podczas wojny w Kanadzie walecznym; atoli zarzucano mu, iż jest łakomym i że się czę-

stokroć zdzierstwem zbogacić usiłował. Jeżli więc pogłoski nie kłamały, to niepodobna było przypuszczać, że chciwy człowiek, który bez składania rachunku zarządza majątkiem bogatéj dziedziczki, da się łatwo do rychłego zamężcia jéj nakłonić, lecz że owszem ubóstwo zalotnika weźmie za powód do stanowczego opiérania się temu. Ztém wszystkiém poselstwo do Ameryki przypadło kochankowi po myśli, ile że spodziéwał się obaczyć tam Eleonorę. Jakoż nie zawiodła go ta nadzieja; znalazł młodocianą kochankę swoję, znalazł ją w doścignjącą dziewicę rozwiniętą, a co go najbardziéj uszczęśliwiało, wierną pierwszéj miłości. Przychylny mu jenijusz, stojący Eleonorze przy boku, przyczynił się owszem do tém silniejszego utwierdzenia jéj w tych uczuciach. Byłato młoda i nadobna żona pułkownika Arnolda, w którego domu Eleonora żyła. Jako przyjaciołka i powiernica Eleonory, brała żywy udział w jéj losie, i przyrzekła nawet użyć wszelkiéj swojéj władzy nad mężem, aby spodziéwany upor jego przełamać! Na nieszczęście była ta władza bardzo ograniczona. Arnold kochał wprawdzie swoję żonę, lecz przynajmniéj z równym zapałem, jeżli nie więcéj, kochał też zysk wszelki, a ilekroć walka między przywiązaniem do żony a żądzą zysku zaszła, ta ostatnia zwyczajnie przemogła. Gdy André w Bostonie wylądował, nie było pułkownika Arnolda w domu. Wyjechał był do Filadelfii: dokąd niektóre sprawunki z teściem, sir Edwardem Shippen, na dłuższy czas go wezwały. Porucznik André poznał się tym czasem z pułkownikową, która ujęta zaletami kochanka swéj przyjaciołki, tém gorliwiéj sprawę ich popiérać postanowiła. Ułożono w tym celu plan formalny. Skoro pułkownik wróci, miał André przez Ryszarda, który był dalekim krewnym pana Arnolda, i jako kapitan milicyi pod jego dowództwem służył; uroczyście w dom pułkownikowstwa być wprowadzonym, i starać się powoli o pozyskanie względów opiekuna, aż się nadarzy sposobność wystąpienia otwarcie z oświadczeniem. Zamysł ten zdał się na pozór bardzo trafnym. Zaledwie bowiem Arnold za powrotem do domu zabrał znajomość z porucznikiem, nie omieszkały zalety młodzieńca: jego szlachetna aczkolwiek marsowa mina, wreszcie okazywany mu wszędzie szacunek, uczynić pomyślnego wrażenia na pułkowniku. Jakoż gdyby nie osobisty interes w tém pana Arnolda, byłby on istotnie zamiarom Andrégo nie wielce się opiérał. W obecnym jednak razie należało postępować ostrożnie, zwłaszcza że pułkownik mimo swojéj chciwości, liczył się do tych ludzi, którzy więcéj wydatków niżli przychodu mają, a przeto zmuszony był nie wypuszczać z rąk sposobu powiększania swojéj intraty. Ale że raz przecież stanowczy krok uczynić wypadało, tedy podjęła się pułkownikowa mówić z mężem o życzeniach Andrégo, i ułożono więc, zejść się z porucznikiem na przechadzce pod strażnicą morską, aby mu tam czémprędzéj o skutku rozmowy z panem Arnoldem donieść. Ryszard Talmadge, towarzyszący przyjacielowi na téj przechadzce, był o wszystkiém zawiadomiony, lecz miał się z delikatności usunąć, skoro damy nadejdą.

Obaj przyjaciele stali przez dłuższy czas w milczeniu na wzgórzu pod strażnicą, i patrzyli zadumani na morze zasiane mierzchnącémi w dali wyspami. Słońce ozłacało jeszcze pobliższe szczyty masztów w ostoi, a bandera angielska, zawieszona na jednéj z przednich baszt, powiéwała dumnie w świeżym wietrze wieczornym. Z głębi przybrzmiéwał głucho odgłos wrzawy portowéj.

„Jakże spokojnie, jak skrzętnie i ochoczo dziś jeszcze wszystko wygląda!" — ozwał się Ryszard do przyjaciela, wskazując ręką ku portowi. „Któż wié czy po roku nie będzie tam w dole pusto i martwo, gdy działa linijowe zagrzmią!"

„Ty wszystko w czarném swietle widzisz, Ryszardzie" — odpowiedział André z uśmiéchem. „Czyż można, aby dla tak błahéj drobnostki, wojna domowa rozgorzéć miała!"

»Błahéj, mówisz" — przejął Ryszard — „Zła wola nie jest nigdy drobnostką."

„Zapewneż kilka funtów szterlingów są wielką rzeczą dla Ameryki" — rzekł tamten.

»Niech zażądają milijona, Ameryka chętnie go złoży, skoro tego honor po niéj wymagać będzie; lecz do bezprawnego podatku, chociażby on tylko sto funtów czynił, nie da się ona zmusić."

„A więc tych kilka funtów herbaty?" — ozwał się André, ściskając ramionami.

„Tak, tych kilka funtów herbaty, który ów stojący tam na kotwicy okręt wiezie, rozstrzygną los Ameryki!" zawołał młody przyjaciel z zapałem.

»Licho sobie nadało" — mruknął wtém jakiś chrypliwy głos z tyłu. »Znowuż mi ci „synowie wolności" swoje przeklęte kartki poprzylepiali, a już je po trzykroć dziś zdziérałem."

Byłto dozorca strażnicy, który właśnie przyczepioną do muru odezwę zrywał.

„Pozwól też, przyjacielu" — przemówił doń André ciekawie, biorąc mu kartkę z ręki.

Stało na niéj:

Przyjaciele, bracia, spółobywatele!

Przeklęta herbata, przysłana nam przez kompaniję wschodnio-indyjską, przybyła dziś do portu. Godzina zagłady albo dzielnego oparcia się ciemięztwu już nadeszła. Kto kraj swój kocha, kto nad własném i potomków swych dobrém czuwa, niech się zgromadza wieczorem o dziewiątéj godzinie w Faneuil-Hall, aby się stanowczo téj niegodziwéj i zgubnéj dowolności sprzeciwić."

»Czyż i teraz jeszcze nie wierzysz, że wszyscy

złą wolę w têm upatrują, i że tu o byt kolonii chodzi?» — zapytał Ryszard po chwili.

»Żądauie, aby się kolonija przyczyniła do opędzenia kosztów wojny, którą dla niéj toczono, jest słusznêm, prawo parlamentu nakładania podatku na jéj handel — niezaprzeczonêm» — rzekł André.

„Tak; ależ nie wolno jest parlamentowi rozciągać siatkę swoich wewnętrznych podatków po nad wolnémi głowy Amerykanów» — ozwał się Talmadge żywo. „Nie masz podatku bez zezwolenia podatkujących.»

»Może to być przedmiotem do prawnego zażalenia się; atoli treść owéj kartki jest jawnêm wezwaniem do buntu» —, odparł André.

„Jeżli Anglija widzi w Ameryce tylko pasierba, którego surowością w ryzach utrzymać należy, natenczas powinniśmy jéj okazać, żeśmy z pod rózgi wyrośli, i nie potrzebujemy ochmistrza„ — zawołał Talmadge z gniewem.

»Co słyszę!» przejął André zdziwiony — „Ryszard, mój cichy, łagodny Ryszard został rzecznikiem buntu?»

„Byłoby niegodziwie» — odrzekł tenże — „gdyby tu istotnie o bunt chodziło Ale ten wyraz nie jest tu na swojém miejscu, Ameryka broni swéj słusznéj sprawy, a jeźli do tego — słowa nie starczą, ha, dobrzeż, tedy oręż pomoże.»

»Proszę cię, Ryszardzie» — zawołał André, chwytając przyjaciela żywo za rękę — »proszę cię, nie mów ze mną w ten sposób. Jestem Anglikiem, jestem oficerem królewskim, i nie powinienem słuchać podobnéj mowy »

«Masz słuszność, mój bracie» — odpowiedział Ryszard po niejakim namyśle, posępnie — „Nie godziło się istotnie przemawiać tak do ciebie; a jednakże nie chciałbym milczéć, gdyż stoimy na rozstajnéj drodze, gdzie wkrótce każdy, a nawet i ty, będzież musiał wybór uczynić.»

»I ja? Nie rozumiém cię Ryszardzie» — rzekł André — „jakiż dla mnie wybór zostaje, skoro Anglię i króla po jednéj stronie widzę?»

»Słusznie masz» — odrzekł smutno przyjaciel— »po jednéj stronie król i Anglija, po drugiéj — szczęście twego całego życia.»

Właśnie chciał André zapytać, co Ryszard pod têm rozumié, gdy ten ręką w bok skinął, pokazując dwie zdala nadchodzące kobiety. Poczém podał przyjacielowi dłoń do uścisku, i odszedł zadumany w przeciwną stronę

Starsza ze zbliżających się dam należała do pierwszych piękności Bostonu i okolicy, i kiedykolwiek o celujących wdziękami kobietach mowa była, zawsze pułkownikowę Arnold najsamprzód wymieniano. Wszakże nietylko co do jéj piękności, lecz oraz i o czarującéj przyjemności jéj osoby, czystocie jéj obyczajów, jéj rzetelnéj skromności, wszędzie tylko jedno zdanie panowało. Eleonora S., jéj towarzyszka, niedorównywała jéj co do wdzięków; jednakże można ją było miéć za bardzo ładną osobę, o miłych, ujmujących rysach twarzy. Mianowicie zaś odznaczała się składną postawą, jaką u większéj części Amerykanek za zwyczaj się postrzega.

„Czekałeś pan długo na nas» — zaczęła pani Arnold po pierwszém powitaniu. — »Nie byłżeto Talmadge, który właśnie ztąd odszedł. Szkoda że nie pozostał; byłabym rada z nim mówić. Mój mąż polega wiele na tym młodym człowieku, jest on przyjacielem pana, i życzyłabym mocno, aby mówił z pułkownikiem w twéj sprawie.»

»Mogłażby moja sprawa być w lepszych rękach, jak w rękach pani» — ozwał się André w zobowiązujący sposób:

»O, przecież, przecież! Powtarzam, iż byłoby nie źle, gdyby przyjaciel za tobą się przemówił»— odpowiedziała pani Arnold, a piękna jéj twarz omgliła się zadumą, która na chwilę zatamowała rozmowę.

»Mogęż zapytać»— ozwał się po krótkiéj przerwie André, lękając się, aby milczenie pułkownikowéj nie było wróżbą niemiłéj odpowiedzi — »jak pułkownik Arnold przyjął wiadomość pani?»

„Nie mogę powiedzieć, że ją źle przyjął; owszem uczynił to w sposób, rokujący dobrze o naszéj sprawie; a przecież niewiém, czy pan zbyt wielkie ztąd nadzieje masz sobie robić. Wysłuchał mię spokojnie, co przy tak gwałtownêm usposobieniu nie zawsze bywa; chwalił pana, nazwał cię „młodym człowiekiem, którego z duszy szacuje» — a wiesz pan, iż pułkownik nie jest skorym do takich pochwał Potém zapytał, czy Eleonorze wiadomem jest pańskie staranie się o jéj rękę, i co ona w téj mierze sądzi? Zapewne pan się domyślasz, że to pytanie w porę mi przyszło, dając mi sposobność do użycia małego kobiécego wybiegu — pułkownik nazwałbyto kobiécą chytrością. Odpowiedziałam, że Eleonora ma niejaką o têm wiadomość, lecz iż ja dokładnie zdania jéj nie znam; a tak doprowadziłam do tego, iż sam z nią mówić zażądał.»

»I cóż? cóż? zapytał André żywo, całunkami rękę kochanki okrywając.

»Powiedziałam mu — czego tutaj powtarzać nié mam chęci» — odrzekła dziewica zarumieniona.

„Czego się pan jednak domyśléć możesz» — dodała pułkownikowa z uśmiéchem. „Wkrótce potém przyszedł pułkownik do mego pokoju. Był on jeżli nie kwaśny, tedy przynajmniéj głęboko zadumany. Zaczął mówić — przepraszam pana, że to powtarzam, lecz jako przyjaciółka, powinnam być otwartą — zaczął o pańskim podrzędnym stopniu w armii, o ubogiéj rodzinie, którą sam bez majątku wspierać musisz, wreszcie i o têm, że przy gro..

żącej wojnie między Angliją a kolonijami, nie czas myśleć o podobnym związku.”

Jakkolwiek to bolesném jest dla mnie” — przemówił André, gdy pułkownikowa na chwilę zamilkła — „przecież należy przyznać, iż pułkownik Arnold ma wszelką słuszność w téj mierze, i lubo to całą moję nadzieję niszczy...”

„Nie, tego pan sobie nie wyobrażaj” — przejęła dama z żywością — „Tak sam mąż mój o tém nie myśli; gdyż niebawem jął pana znowuż chwalić; i wyrzekł w końcu, iż musi przedewszystkiém i to najrychléj z panem samym w téj sprawie mówić.”

„Istotnie? Powiedziałże to?” zawołał André uradowany. „Jeźli tak, więc dziś jeszcze, natychmiąst....”

„Nie, dziś nie” — uspokoiła go pułkownikowa. — „Ale jutro o dziesiątéj godzinie każe pana na śniadanie prosić. Obaczysz pan u niego pana Warren, wszakże go znasz? — i jeszcze jakiegoś pana z Wirginii Chce on pana, jak mi mówił, z nim zapoznać.”

„Sądząc po wszystkiém, co słyszałem” — ozwał się André — „zdaje się, iż pułkownik oświadczenia mego nie przyjął z tak stanowczą niechęcią, abym się na każdy wypadek zupełnéj odprawy musiał lękać.”

„Nie, wcale nie” — odpowiedziała pani Arnold — „wspominał tylko o ważnych przeszkodach, które jedynie pan sam usunąć możesz; przyczém nadmienił też o niektórych warunkach, lecz nie dość jasno, abym całkiem zrozumieć mogła; i dla tegoto radabym była mówić wprzód z panem Talmadge.”

„Przystaję na te warunki! Przystaję na wszystkie warunki, jakie pułkownik Arnold czynić mi zechce. Nie może i nie będzie on nic po mnie żądać, coby się z jego i moim honorem nie zgadzało,” — zawołał młody porucznik z żywością.

Poczém z młodzieńczém uniesieniem jął mówić o szczęściu, jakie spodziewa się osiągnąć, o wiernéj wdzięczności dla swojéj nadobnéj protektorki, aż wreszcie pułkownikowa przypomnieć mu musiasiała, iż czas się rozejść

Już się były damy o kilka kroków oddaliły, gdy Eleonora nagle wróciła, jakby jeszcze coś przyjacielowi powiedzieć zapomniała.

„Nie ufaj pan Arnoldowi Chce on pana za narzędzie do swoich zamiarów użyć. Nie wchodź w żadne zobowiązania, któreby się panu dwuznacznémi wydawały, i licz pan na to, że ci niezłomnie słowa dotrzymam.”

Poszepnąwszy w największym pośpiechu te słowa kochankowi, odbiegła za przyjaciółką. André pozostał tak długo na miejscu, dopóki jeszcze widać było białą suknię kochanki zpoza krzaków, a potém miał zejść z pogórka, gdy oto naraz dała się słyszéć na dole koło portu dzika wrzawa licznego tłumu ludzi, którzy śród okrzyków i buntowniczych śpiéwów, u podnóża strażnicy przeciągali.

„Słyszysz waszmość?” ozwał się stary dozorca przystępując do Andrégo — „niech mię czarci porwą, jeźli tam już tłuc się nie zaczynają. Niechno waszmość tam do mojéj strażnicy wstąpi, i przez dalekowidz popatrzy, a obaczymy, że w porcie wszystko już do góry nogami się przewraca. No, gdybym ja był jego ekscellencyją, jaśnie wielmożnym Tomaszem Gage, namiestnikiem prowincyi Massachussets, i jenerałem *en chef*, tedy kazałbym po prostu wystąpić naszemu dzielnemu „Trzydziestemu czwartemu,” w którym, masz waszmość wiedziéć, nie chwaląc się, służyłem, a jak mi Bog miły, wnetby te Jankesy ucichły. Jakże, czyż waszmość inaczéj sądzisz?”

„Cóżto ci ludzie właściwie rozpoczynają?” — zapytał André, spoglądając ku portowi.

„Ba, gdyby ktoś mógł to wiedzieć! Ale podobnoś to ni ztąd ni zowąd próbka rowolucyi jak widać” — odpowiedział strażnik szyderczo. „Ot, jesttam doktor Warren, co to ma stać na czele tych „Synów wolności” jak ich zowią. A masz waszmość wiedziéć, że jestto pewien rodzaj stowarzyszenia, które się zobowiązało, spieszyć wszędzie, gdzie nowe, niemiłe im ustawy rządu wykonane być mają; aby takowym opór stawić. Otoż ten Warren, miał dziś rano mowę do młodych ludzi, którzy się w Faunel-Hall zgromadzili, a powiadam waszmości mowę, któréj można było posłuchać. Prawił o herbacie, o wolności, i że już godzina wybiła, prawił; a potém rękę ot tak wystawił, a potém tak, a potém znów inaczéj. I zaręczam waszmości, że było tam istotnie czego słuchać i na co patrzéć; to też wszyscy byli mocno przejęci i wzruszeni, a gdy ktoś z zarzutem chciał się odezwać, sąsiad jego dał mu takiego w brzuch szturkańca że najuczeńszy bokser byłby się nim mógł pochwalić. A potém udali się wszyscy ku portowi, z doktorem Warren na czele. Jakoż wre tam już na dole, i roi się jak w mrowisku, a nawet Indyjanie, podobno Mokaksy, są także między zgrają.”

„Indyjanie?” zapytał André ciekawie. „W istocie, radbym ich też obaczyć.”

„Ach, waszmość, jak widzę, przybyłeś niedawno z „Starego kraju!” ozwał się strażnik. „O, jeźli tak, to musisz waszmość zejść na dół i bliżéj téj burdzie się przypatrzyć. Będzieto, ani wątpić, zabawna scena, zwłaszcza jeźli sir Tomasz pójdzie po rozum do głowy, i każe naszemu „Trzydziestemu czwartemu” wystąpić. Byłoby tam dla niego co do czynienia, bo te Jankesy, to istne czarty, skoro się na co uwezmą; a teraz uwzięli się na tę herbatę, to jest na opłaconą. No-no, muszę pójść na górę i pozaświecać lampy, aby im widno było przy bójce.”

André bawił od niedawne w Bostonie, lecz słyszał wiele o żywym charakterze tutejszego ludu, jakotež o tajnych towarzystwach, które się pozawiązywać miały, wreszcie pragnął ujrzeć Mokaksów, których od czasu wojny w Kanadzie nie widział; zdjęty więc ciekawością, zeszedł po oddaleniu się strażnika, na dół ścieżką ku portowi. Nie mógł jednakże przecisnąć się przez tłumy aż do środka, i stanął sobie na boku. Jak się zdawało, byli wszyscy w największém wzburzeniu. Wszędzie brzmiały groźby, urągowiska, skargi na „bezprawia" i »ciemięztwo.» Przytém widać było kilku dobrze ubranych ludzi, którzy się pośrodkiem ciżby przemykali, tuowdzie krótko do jednéj z zgromadzonych kup przemówili, tam niemo za rękę kogoś ścisnęli, gdzieniegdzie tylko przelotne skinienie rzucili. Z ubocznego stanowiska swego mógł Andre wszystko dokładnie przejrzéć. Najliczniejsze grono zebrało się o jakich pięćdziesiąt kroków, przy najbliższéj śluzie portowéj. Między innymi było tam ze trzydziestu Indyjan w swoim oryginalnym stroju. Lubo już zmiérzchać zaczynało, dostrzegł André przecież, że Indyjanie czarno i biało pomalowane twarze mieli, i że spora flacha z wódką pilnie pomiędzy nimi z ręki do ręki przechodziła. Nagle przecisnął się do nich jakiś przyzwoicie ubrany człowiek. Kilku z obecnych podniosło go na stół, zkąd nieznajomy miał do zgromadzenia krótką lecz dobitną przemowę, z któréj André jednakże dla oddalenia, tylko pojedyncze słowa zrozumiał. Gdy mówca umilkł, wydali Mokaksowie dziki okrzyk wojenny, i rzuciwszy się natychmiast do łodzi, popłynęli ku okrętowi, stojącemu w pośrodku portu. Na widok tego zabrzmiało zewsząd stugłośne *hurra* w pochwałę, a oraz kilkanaście łodzi odbiło natychmiast od lądu i otoczyło ów okręt. W oka mgnieniu przedarli się Mokaksowie na pokład; a po niedługiéj chwili zaczęły z niego mnogie beczki z herbatą w morze spadać. Śród radosnéj wrzawy zanurzano je w wodę, albo rozbijano wiosłami. Tymczasem zgromadziła się wkoło Andrégo mała kupka widzów, którzy żywo pomiędzy sobą rozmawiali.

„Cieszę się tylko" — rzekł jeden, śmiejąc się — »na owe wściekłe mowy, jakiémi nas w Westminster-Hall łajać będą. Już słyszę, jak tam ciągle na „fakcyje i to niesforne, bezrządne plemię, *la ungovernable race of people*" odkazują."

»A jakże dopiéro oczy wytrzészczać będą, czytając, że to Mokaksowie na okręt napadli i herbatę w morzę wrzucili" — dodał ktoś inny.

„Nie, to nie Mokaksy! to blade twarze!" *) — zabrzmiał nagle miękki, gardłowy głos w tyle Andrego.

Byłto stary Indyjanin brunatnéj barwy, dość słusznego wzrostu, wpół nagi, bo tylko wełnianą derą pokryty, zpod któréj cała jego silna, koścista budowa ciała widną było. Mnogie śrebrne ozdoby na szyi i u pasa, zgrabne mokasyny (chodaczki) jako też orle pióro, wetknięte we włosy, w duży guz uwiązane, przede wszystkiém zaś jego dumna postawa, nadawały mu coś imponującego.

„I cóż bracie, dla czego nie jesteś wraz z swymi plemiennikami" — zapytał jeden z obecnych starego Indyjanina. „Nie słyszałżeś ich krzyku wojennego?"

„Nie umiéż, „Czarny ptak" *) rozróżnić skowyczenia psa od wycia wilka?" ozwał się Indyjanin, kaleczonym językiem angielskim

„Wszakże to są Mokaksy, twoi bracia, a pospieszyli na »tór boju!„ **) — zawołał ktoś inny.

„Torem boju — beczki z herbatą? Nie, to nie „Czerwone skóry," to »blade twarze" — odparł niechętnie starzec, i odwróciwszy się, zniknął w tłumie.

Zgromadzeni spojrzeli z zadziwieniem na siebie. Gniewało to widocznie Indyjanina, że rodacy jego uczestniczyli w napadzie na okręt; a przecież działo się tak rzeczywiście. Było jeszcze dość widno, gdy rozbito beczki z herbatą, ludzie którzy to czynili, wyglądali zupełnie podobnie do starego Indyjanina, prócz chyba że on miał płeć ciemniejszą, i nie był pomalowany na twarzy, jak oni. Daremnie Andre rozmyślał nad tém, co też owych słów kilka, które stary Mokaks wyrzekł, a których przecież nie można było brać za oczywiste zaparcie jawnych wypadków, znaczyć miało. Ztémwszystkiém dotąd jeszcze widział André roziskrzone gniewem ciemne oko Indyjanina, i malującą się na jego twarzy zniewagę i wzgardę; co mu się wszystko tak żywo w pamięć wbiło, iż przez cały wieczór mimowolnie miał je przed oczyma.

Tymczasem wrzawa coraz bardziéj się wzmagała. Nie było zapewe nic łatwiejszego, jak gwałt gwałtem odeprzéć. Okręt z herbatą stał w samym środku portu. Należało tylko dać kilka strzałów działowych z bateryi nad portem, a niktby się był nie ważył zaczepić okrętu. Atoli ileż nieszczęścia mogło z tego wyniknąć, ile ludzi byłoby zginęło w téj ciżbie, tłumiącéj się w pobliżu portu. Też same zapewne uwagi skłoniły gubernatora do wstrzymania się od użycia przemocy. Wreszcie jednak dały się słyszeć bębny. Wszędzie gruchnęła pogłoska, że wojska nadciągają, poczém dopiéro śród głośnych przekleństw i wyrzekań rozprószyło się

*) »Blade,« albo »białe twarze« zowią Indyjanie Europejczyków i ich potomków amerykańskich. Siebie samych nazywają oni »czerwone skóry.«

*) Indyjanie przybierają zwykle imiona własne od źwiérząt.

**) Sposób wyrażenia się Indyjan, mówiąc o każdéj napaści.

pospólstwo. Wnet zajaśniał księżyc na niebie, a teraz ujrzano cały port okryty beczkami z herbatą, pływającémi po wodzie. Pozostali przy okrętach majtkowie rzucili się do łowienia ich śród śmiechów i szyderczych okrzyków, a znalazłszy, iż która beczka morską wodą już przemokła, ciskali ją nazad w morze.

Wkońcu powrócił André do swego mieszkania. Całą noc spędził prawie bezsennie. Niepokoiły go ciągle nadzieje i obawy jutrzejszéj rozmowy z pułkownikiem Było mu bardzo niemiło, że cała jego przyszłość spoczywała w ręku takiego jak pan Arnold człowieka. Od chwili swego przybycia do Bostonu, zasięgał on wszechstronnie wiadomości o pułkowniku, a wszystkie odpowiedzi były nie tylko jednomyślne, ale z jego własnémi domysłami zupełnie zgodne. Wszędzie uchodził pułkownik Arnold za człowieka znakomitych zdolności wojskowych, doświadczonéj odwagi, nawet przyjemnego, jeżli mu o to szło, znalezienia się; ale też i jego nieporządny tryb życia, jego chciwość, jego obojętność w wyborze środków, prowadzących do zaspokojenia swéj żądzy; były równie wszystkim wiadome. A ponieważ André nadło postrzegł był w pułkowniku niezwykły dar namowy i nadzwyczajną przebiegłość; tedy powiedział sobie, iż przy swojéj młodości i niedoświadczeniu należy mu być bardzo ostrożnym w obec podobnego człowieka, i odpowiednio temu, postanowił rozważyć dobrze wszystkie wymagania pułkownika, i nie przystawać na nic, coby tylko z najsurowszémi pojęciami honoru się nie zgadzało. Wszakże o tém, co pułkownik miał mu do powiedzenia, albo jakie warunki do osiągnienia ręki Eleonory włożyć nań zechce, nie mógł André żadnego powziąć wyobrażenia; zdawało mu się tylko, iż pułkownik prawdopodobnie zażąda uwolnienia go od zdania sprawy z zarządu majątku Eleonory.

Nazajutrz rano zbudził młodego porucznika ordynans, powołujący go natychmiast do gubernatora miasta, jenerała Tomasza Gage.

„Byłeś pan może przypadkiem wczoraj w wieczór w pobliżu portu, gdy okręt z herbatą napadnięto?” — ozwał się jenerał do wchodzącego porucznika. „Otrzymałem tu mnóstwo sprzecznych raportów od oficerów, dowodzących bateryjami nad portem, a dziś, albo najpóźniéj jutro rano, muszę wysłać do Anglii okręt z doniesieniem o zaszłych tu wypadkach ”

„Znajdowałem się w istocie przypadkiem dość blizko portu, gdy bałas wszczął się, i byłem świadkiem napadu na okręt” — odrzekł André.

„Więc dobrze” — przemówił żywo jenerał. — „Ci panowie donoszą, że tam jakaś zgraja dwudziestu albo trzydziestu Indyjanów najprzód na okręt się rzuciła, i że pospólstwo dopiero za jéj przykładem poszło, i beczki z herbatą rozbiło. Mieli to być Indyjanie z plemienia Mokaksów.”

„Tak się zdaje” — potwierdził André — „Jeden z tych Indyjanów, który jednakże nie miał udziału w napadzie, stał tuż przy mnie. A że to Indyjanie pierwsi na okręt uderzyli, i ja też poświadczyć mogę.”

„Ależ, mój Boże, zkądże ci ludzie się wzięli, i gdzie się podzieli tak nagle?” zawołał żywo jenerał. »Wczoraj rano miał tu być w mieście tylko jeden Indyjanin, który od kilku dni w Bostonie przebywa, wieczorem zaś napada ich trzydziestu na okręt; a gdy dziś w nocy cała straż miejska za nimi się rozbija, aby ich wytropić i pojmać, nigdzie ani śladu ich dostrzedz. Schwytano tylko owego jednego, a ten twierdzi, że nie należał do gwałtów, i że prócz niego nie było żadnych Mokaksów w mieście.”

„Trudno pojąć, jak on ich bytność zaprzeczać może, gdy przecież tysiące ludzi na własne oczy ich widziały” — rzekł André z zadziwieniem.

„Wydałem rozkaz aby go schwytać” — odpowiedział jenerał — „jeżli uczestniczył w rozruchu, tedy postawię go przed sąd wojenny, i nie będę długich zachodów z nim czynił. Na każdy wypadek musi wyznać, gdzie jego rodacy się podzieli. Jest on ich naczelnikiem, a przytém jednym z tych, którzy w wojnie w Kanadzie się wsławili; jest tedy niepodobieństwem, aby on nie był przy tym napadzie, albo przynajmniéj o nim nie wiedział, jeżli takowy istotnie przez Indyjanów popełnionym został. Ponieważ pan byłeś w pobliżu, gdy się to działo, i na własne oczy widziałeś Indyjanów, przeto proszę pana przyjść tu o dwunastéj godzinie. Jestto właśnie czas, przeznaczony do wybadania owego Indyjanina, a chciałbym, abyś mu pan do ócz stanął. Może go to przekona, że kłamstwo na nic się tu nie przyda.

Poczém skinąwszy uprzejmie głową, pożegnał jenerał porucznika; który więc czémprędzéj pospieszył do pułkownika Arnold, gdyż nadeszła już godzina śniadania.

Wszedłszy do pokoju pułkownika, zastał André stół już nakryty i sowicie zastawiony, atoli Arnold i dwaj będący z nim panowie, nie troszczyli się wcale o śniadanie, lecz zatapiali się owszem w przeglądaniu leżącéj na bocznym stole mapy. Z tego powodu nie słyszeli nawet, kiedy wszedł porucznik, i rozmawiali daléj pomiędzy sobą.

„Z téj strony” ozwie się Arnold, człowiek wyniosłéj postawy, ale nieprzyjemnych rysów twarzy, wskazując na pewien punkt na mapie.

„Nie, z téj” — odparł żywo drugi, doktor Warren, którego André już kilkakrotnie u pułkownika spotkał. Byłto nadzwyczajnie ruchawy człowiek, ujmującéj powierzchowności, z wyrazem śmiałości w oczach.

Trzeci z obecnych uśmiéchnął się, położył palec na przeciwnéj stronie planu, i rzekł spokojnie: »Tu jest punkt rozstrzygnienia.«

André miał czas przypatrzyć się dokładnie temu trzeciemu. Miał on około lat czterdziestu pięciu, był wysoki, lecz kształtnie zbudowany. Twarz jego odznaczała się wyrazem godności i umiarkowania. Oko było głęboko zamyślone, i prawie melancholijne. Prosty nos, piękne czoło nadawały mu poniekąd greckiego profilu; niższa zaś część twarzy, osobliwie mocno zaciśnięte wargi, znamionowały stałość charakteru i silną wolę. Cała jego powierzchowność świadczyła o człowieku wyższego stanu, a lubo był w stroju cywilnym, przecież postawa jego, tudzież rodzaj fryzury, miały stanowczo wojskową cechę.

»Otoż i pan!« — zawołał Arnold żywo, postrzegając porucznika. »Dobrze żeś przyszedł; jesteś oficerem od sztabu jeneralnego, bawisz dość długo w Bostonie, znasz miasto i okolice, i musisz przeto dać swoje zdanie. Przystąp pan bliżéj, i przypatrz się temu planowi. Z którego punktu przypuściłbyś pan szturm do Bostonu, gdybyś pan był jenerałem nieprzyjacielskim, i miał waleczny, chociaż tylko słaby korpus pod swémi rozkazami?«

André patrzył przez kilka minut na mapę, a potém rzekł:

»Osadziłbym te wzgórza po prawéj stronie wsi Charlestown, jakoteż i wieś samę, a na ostatniéj krawędzi tego niskiego pasma, które tu nieco w morze wbiega, a położeniem swojém nad wnętrzem portu panuje; kazałbym przedewszystkiém kilka bateryi usypać. Z tego stanowiska, chociażby tylko słaby oddział wojsk mając, możnaby dotkliwie szkodzić załodze, a w razie zaczépki z jéj strony, co oczywiście prędzéj czy późniéj nastąpićby musiało, nie trudno byłoby się bronić z korzyścią.

Wysoki nieznajomy uśmiéchnął się uprzejmie do porucznika. »Cieszę się, iż jesteśmy jednego zdania« — ozwał się potém do niego.

»A więc i pan głosujesz za stroną od Bunkerhill?« — rzecze Arnold. »Ha, nie chcę się sprzéczać, lubo to stanowsko nieco zbyt śmiałém mi się wydaje, zwłaszcza.... Ale dopiéro teraz przypominam sobie, że cię poruczniku jeszcze temu panu nie przedstawiłem.« — Poczém wskazując z kolei na jednego i drugiego z gości, dodał: »Porucznik André, adjutant jenerała Clinton! a to Jenerał Washington!«

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład Piotra Pillera) wyszedł nr. 20ty i zawiéra: 1) O bulbie, rzecz dra Sprengla, tłumaczenie bar. Larissa. 2) Jak też gospodaruje nasz chłopek a jakby powinien gospodarować. 3) Biała gorczyca. *Sinapis alba L.* 4) Żywica. 5) Pożywność kawy. 6) Wiadomości handlowe i przemysłowe. 7. Uwiadomienia potoczne.

Biblijoteki naukowego zakładu imienia Ossolińskich zawiéra: 1) Muzeum Natury we Lwowie, przez Wincentego Pola (dokończenie). 2) Obyczaje pierwotnych Słowian, przez Karola Szajnochę. 3) Język polski i jego uprawiacze w Galicyi, przez Stanisława Pilata. 4) Handzia z Samary, Tomasza Padury, przekład Anieli Z...... 5) Powieść o życiu poety, przez Józefa Dzierżkowskiego (dokończenie). 7) Rozmaitości. Korespondencyja Redakcyi.

Wyszła świéżo z druku w wytłoczni Piotra Pillera mała broszurka pod tytułem: Kaz. Józ. Turowskiego *Krótka nauka dla JJ. PP. Ekonomów: Lwów* 1847, w małéj 8ce str. 44, przedrukowana z *Tygodnika rolniczo-przemysłowego*. Autor znany z swych wiadomości gospodarskich, skréśliwszy poprzednio charakterystykę ekonoma w jego rozmaitych stosunkach rysami prawdziwémi, bo z doświadczenia wziętémi, przebiega od wiosny zacząwszy aż do późnéj jesieni i do zimy, wszystkie jego zatrudnienia gospodarskie, obowiązki rozmaite, przy czém daje mu niektóre praktyczne do jego zawodu zastosowane nauki i przestrogi. Jedném słowem, wyczerpał autor w tém dziełku, wszystko to, co mniéj więcéj ekonomowi naszemu wiedziećby należało, i co jakkolwiek nie jest nowe, ale właśnie że praktyczne i razem zebrane, stać się może wielce pożyteczném, jako książka podręczna, mianowicie dla ludzi młodych, poczynających zawód ekonoma; i z tego stanowiska zasługuje to dziełko na uwagę. Dostać go można we wszystkich księgarniach krajowych po cenie 24 kr. m. k., a w drukarni Piotra Pillera po 18 kr. m. k. J. D.

Pisarze we Francyi. Życie duchowe we Francyi ciągle jeszcze jest pełne blasku i okazałości, i żaden prawie inny naród téj ziemi, nie może się poszczycić taką rzeszą sławnych ludzi, jaką dziś ma Francyja. Jérzy Sand, Lamartine, Eugeniusz Sue, Wiktor Hugo, Scribe, Aleksander Dumas, i wszyscy, wielu ich tam jest i jak się nazywają, zarówno są znani w całym ucywilizowanym świecie, jak i w samym Paryżu; — gdy przeciwnie sława najpiérwszych pisarzy innych narodów, zaledwie dosięga granic tego kraju, w którym żyją, a częso nawet granicy ich parafii nie przechodzi. Jednakże blask ten daleko większy jest na zewnątrz, a niżeli na wewnątrz. Te bowiem wszystkie imiona, tyle sławione, w saméjże Francyi prawie żadnego już nie wywiérają wpływu. Są one jak płynące okręty, co tylko na powierzchni wody przez chwilkę zapieniony prąd za sobą pozostawiają, — a potém nikną bez śladu na zawsze. Czytamy ich, podziwiamy ich dowcipne połyski, ich sztuczne ognie; ale skoro się wypalą i pogasną, znowu nastaje dawna ciemność. Bo nie mają za sobą duszy całego narodu, bo im zbywa na tym harmonijnym ustroju, któryby ich obrazy i pomysły w uczucie ludu przenosił, i tamże przechowywał. A tak imiona, które wczoraj jeszcze były w ustach całego świata, dziś już brzmią tylko jak dalekie echa, a właśnie sąto najsławniejsi pośród téj rzeszy sławnych, na których najpierwéj spada ten wyrok duchowéj śmierci. Lamaiuago, który przed kilkoma laty zdał się władać całą młodzieżą francuzką, — dziś pogrzebano za życia. Głębokie i pełne dowcipu dzieła Balzaka, pojawiają się jeszcze tylko jak straszydła w olbrzymich doniesieniach dziennikarskich. Nawet sam Jérzy Sand, ono największe prawie zjawisko swego czasu, straciła już dziś dla Francyi wszelkie wewnętrzne i żywotne powaby, i żyje jeszcze tylko resztkami téj sławy, którą niegdyś uzbierała sobie. Wiktora Hugo, pochowano jako członka akademii; Eugeniusza Sue obrzucono procesami na odprawę, a Aleksander Dumas, stał się celem urągań i pośmiewiska temu samemu towarzystwu, które przed kilkoma tygodniami jeszcze, zniewalało najpiérwsze imiona do składania mu hołdów,

Jeszcze jeden wynalazek! Z Elberfeld donoszą za najpewniejszą wiadomość, że wynaleziono

właśnie małe narzędzie chirurgiczne, które równie jak eter siarczany powszechne obudzi zajęcie. Jestto sztuczna pijawka, nad którą Anglicy, Francuzi i Niemcy długo się trudzili i dla której ostateczny wynalazca całych sześć lat życia i wszelkie dochody poświęcił. Wynalazcą tym jest rodowity Westwalczyk, Karol Baunscheid, sławny mechanik w Poppeldorf w pobliżu miasta Bonn. Obecnie porobił on już przygotowania ku rozszérzeniu tego szczególniejszego narzędzia po zagranicznych krajach, zastosowanego we wszystkiém jak najdokładniéj do natury pijącego krew zwierzątka. Jeden z dowcipnisiów utrzymuje, że mu lichwiarz był wzorem do tego wynalazku.

Skarb państwa szwedzkiego ma niespodzianie wypłacić bardzo dawny dług, którego historyja jest w istocie godną opowiedzenia. Gdy w r. 1632 sławny król szwedzki Gustaw Adolf pod Luceną zginął, były finansy szwedzkie w tak lichym stanie, że opiekunowie córki poległego króla, tak sławnej w późniejszych czasach królowéj Krystyny, widzieli się zmuszonymi dług zaciągnąć, aby koszta wychowania młodéj królowéj opędzić. Owoż przedłożono teraz skarbowi jeden z takich zapisów, o których już dawno zapomniano, do wypłacenia. Jest on wydany dnia 24 grudnia 1635 r. w Sztokholmie, na 40.000 talarów, które Jakubowi Krieves w Lubece się należą. Na mocy tego dokumentu miała pomieniona suma po 10 latach być wypłaconą, doliczywszy do tego roczny czynsz po 8 od sta; a oraz wyrzeczone, iż żądanie wierzyciela nigdy zadawnionem być nie może. U spodu stoi własnoręczny dopisek królowéj Krystyny: »*Approuve. Compiègne* 1657. *Christine, R.*« Zapis ten został obecnie podany do wypłaty przez pewnego pastora z Meklenburg-Strelitz, nazwiskiem Kragt, który jednakże nie tylko kapitału, ale i owych 8 odsetek za upłyniony przeciąg 210 lat się domaga, co razem sumę 785.000 talarów wynosi. Rząd szwedzki zlecił przedewszystkiém właścicielowi dokumentu wykazać swoje pochodzenie od Jakóba Krieves, tudzież swoje prawo własności.

Elżbieta w roku 1598. Nigdy jeszcze może żadna kobieta nie była tak wielką przyjaciółką rozmaitych i wymyślnych ubiorów, jak królowa Elżbieta. Na każdy dzień prawie miała inne suknie, i tak w nich była zamiłowaną, że rozłączyć się z niémi było dla niéj niepodobieństwem. Po jéj śmierci znaleziono wszystkie te suknie, które za życia nosiła, złożone w jéj garderobie — było ich przeszło 3000!... Pewien Niemiec, który podróżował natenczas po Anglii, tak mówi o Elżbiécie: »Niebawem weszła królowa (jak mi mówiono, miała już lat 65 wtedy) postawy bardzo majestatycznéj; twarz jéj była podłużna, piękna, ale zmarszczków pełna. Kulce miała z dwóch dużych pereł, perukę z czerwonych włosów i małą koronę na głowie. Ubrana była w białą jédwabną suknię, obszytą perłami w wielkości bobu, i w czarny płaszcz jedwabny srebrnémi sznurkami wyszywany; koniec ogonu sukni, który był nadwyczajnie długi, niosła jakaś hrabina. W miejsce łańcucha miała na szyi obróżkę ze złota i drogich kamieni. Tylko klęcząc można było do niéj mówić, a to bez żadnego wyjątku; niekiedy tylko, podniosła własną ręką mówiącego. Gdy jéj nas przedstawiono, podała posłowi do pocałowania rękę połyskującą pierścieńmi i klejnotami; — byłato oznaka szczególnéj łaski. Gdzie tylko przechodząc zwróciła spojrzenie — zaraz się wszędzie wszystkie uginały kolana.

Nazwy osad w Algeryi. W skutek kolonizacyi Francuzów, zostało ostatniémi czasy wiele osad algierskich świéżo ochrzczonych, do czego mianowicie rodzina królewska imion swych dostarczyła. I tak jest tam już Orleansville, Filippeville, St. Amélie, St. Ferdinand, Jounville, Aumale, Montpensier. Najnowsza wieś otrzymała nazwę Nemours. Na to czynią pisma francuzkie następującą uwagę: Ponieważ cywilizacyja Algeryi jest dziełem całéj Francyi, tedy byłoby może stosowniéj, gdyby tam nadano nazwiska lub tych miejsc w staréj Francyi, które wielkiemi historycznémi czynami zasłynęły, albo też owych mężów, którzy w różnych zawodach do sławy ojczyzny się przyczynili.

Wartość szacunkowa płci niewieściéj. Sławny filozof Rousseau, zapytany pewnego razu, ile też i jakich przymiotów potrzeba dla dziewicy, aby mogła uszczęśliwić męża? oszacunkował w odpowiedzi płeć żeńską, jak następuje: Co do piękności, dziewica jest — 0, co do gospodarności, 0, co do wykształcenia umysłowego, 0, co do pieniędzy, 0, co do dobroci serca, 1. Tak np. gdyby dziewica nie miała nic więcéj prócz dobroci serca, miałaby wartość 1 (jednostki). Gdyby miała przytém jeszcze piękność albo pieniądze, miałaby wartość 10 (dziesiątki); gdyby łączyła w sobie na raz kilka tych przymiotów, wartość jéj mogłaby się podnieść do 100 (setki) lub 1000 (tysiąca), a przy wszystkich przymiotach razem, do 10.000. Wszystkie te jednak przymioty bez dobroci serca, byłyby tylko rzędem samych nul. — Tak myślano za czasów Roussa, dzisiejsza oświata przerobiła już nieco tę tabelę, i przyjęła pieniądze za jednostkę, resztę zaś wszystko zerami oznaczyła.

Szczególna nagroda. Lady N. umiérając, zapisała pewnemu angielskiemu poecie 1000 funt. szter., któryto zapis w testamencie następującémi wyraziła słowami: Sir Edwardowi B.... tysiąc funt. szter. w nagrodę za wszystkie te chwile, które przy czytaniu romansów jego, tak słodko przedrzémałam!.....

Korzyść z grubijaństwa. Dwaj Anglicy podróżujący po Niemczech, natrafili w najlichszéj gospodzie Czarnego lasu na oberzystę, którego kolosalne grubijaństwo wielce ich zajęło. Wskutek tego rozniosła się jego sława po całéj Anglii, jego dom zajezdny oznaczono dla turystów jak widzenia godny, a niedługim czasem oberzysta ujrzał u siebie niespodziany napływ Anglików, niedomyśliwszy się bynajmniéj przyczyny tego. Przez obcowanie z tylu ludźmi, i przez korzystny obrót interesów, ułagodziły się nieco obyczaje jego, ale w miarę tego, coraz więcéj ubywało mu gości. Oberzysta dziwił się temu niepomału; lecz dowiedziawszy się nakoniec o prawdziwéj przyczynie, rozpisał następne ogłoszenie. »Panów Anglików zawiadamiam niniejszém, że moja oberza dotąd jeszcze przeczemnie utrzymywana, i że jak w przeszłych latach, tak i teraz obiecuję być grubijaninem, bardzo wielkim, a nawet jeszcze większym niż przedtém grubijaninem; upraszam przeto o częste odwidziny.« Gdy się znowu Anglicy pojawiać zaczęli, gospodarz zaraz na wstępie kilku po grubijańsku przywitał, a nawet za drzwi wyrzucił, odtąd i oberza jego była przepełniona dziwakami z nad Tamizy.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.